

"Od harcerza do żołnierza" Stanisław Sieradzki "Świst"

Urodziłem się 14 września 1921 roku w Iłowie w powiecie Działdowo w rodzinie wielodzietnej, jako jeden z sześciorga dzieci Wawrzyna – pracownika miejscowej parowozowni PKP (pochodził z Jarocina) i Elżbiety z domu Strzeszyńskiej (pochodziła z Miłosławia). Swoją przygodę z harcerstwem zacząłem dzięki matce, która brała udział w strajku dzieci we Wrześni. W wieku 12 lat, czyli w 1932 roku, wstąpiłem do 75 Pomorskiej Drużyny Harcerzy im. Księcia Józefa Poniatowskiego, przemianowanej w roku 1938 na 165 Mazowiecką Drużynę Harcerzy.

„Mama moja w początku XX wieku była uczestniczką strajku dzieci we Wrześni. Dostawała po rączkach trzcinką od niemieckich nauczycieli za to, że nie chciano odpowiadać po niemiecku na pytania Niemca. Stąd może bierze się grunt mojego wychowania, jeżeli taka była moja mama, to poszedłem jej śladami. Właśnie mamie zawdzięczam, że znalazłem się w harcerstwie: otrzymałem grosze na mundurek harcerski, potem otrzymywałem pieniądze na wyjazdy, na obozy harcerskie. Tak zaczęło się moje harcerskie życie.”

Pamiętam że w roku 1935 byłem na dużym poważniejszym obozie na Podkarpaciu w okolicach Delatynia, Worochty, województwo stanisławowskie, obecnie Ukraina. Co roku jeździłem na obozy harcerskie. W roku 1938 na obozie harcerskim przeszedłem kurs drużynowych w okolicach Brodnicy, a w roku 1939 przeszedłem kurs podharcistrzów. Otworzono mi drzwi przed próbę podharcistrza, a jednocześnie byłem po raz pierwszy w życiu komendantem obozu harcerskiego. Pierwszy obóz poprowadziłem we wsi Lekarty w okolicach Nowego Miasta Lubawy. Znajdował się trzy kilometry od ówczesnej granicy z Prusami Wschodnimi. Niemców denerwowały harcerskie ogniska, okazywali to przez wykrzykiwania i gesty. Wspominam to że wtedy zrozumiałem, iż gdyby miało nastąpić nieszczęście, to ono nastąpi na wskutek ataku Niemców. Wszystko to, przeżyłem miesiąc przed wybuchem II wojny światowej.

„Obóz harcerski wszczepił we mnie umiłowanie do zagrożonej ojczyzny. ”Trzy dni przed wybuchem wojny zwijaliśmy nasz obóz harcerski. Cały sprzęt obozowy załadowaliśmy do wagonu towarowego, kolejowego. Dodaję, że moja drużyna harcerska - 75 Pomorska Drużyna Harcerska imienia księcia Józefa Poniatowskiego - należała do chorągwi pomorskiej z komendą chorągwi w Toruniu. Właśnie w tej chorągwi byłem przyszłym instruktorem harcerskim. (...) do domu do Działdowa wtedy nie dojechałem, ponieważ musiałem pilnować sprzętu obozowego, który ewakuowany został w okolice Włodawy nad Bugiem, Brześcia nad Bugiem. Tam cały sprzęt dostał się w ręce Armii Czerwonej, jedynie sztandar udało mi się wtedy uratować, wynieść i ukryć. Jednak i wtedy nie miałem szczęścia, nie wróciłem do domu, ponieważ po przejściu przez Wisłę spod Garwolina w kierunku na Górę Kalwarię, na rzece Wiśle, na moście w mundurze harcerza zostałem zatrzymany przez niemieckich żołnierzy Wehrmachtu, nie żandarmów, nie gestapowców, ale wermachtowców. W ten sposób stałem się jeńcem wojennym. ”

Najpierw wywieźli mnie w okolice Iławy ówczesnego Deutsch-Eylau, gdzie był obóz przejściowy dla jeńców. Tam znalazłem się w dużym gronie żołnierzy polskich, z którymi przenieśli mnie do obozu jenieckiego w okolice Królewca, ówczesnego Königsberg. W obozie byłem ubrany w swój mundurk harcerski. Mundur ten zastanawiał jednego z oficerów Niemców, jaki rodzaj broni reprezentuje. Kiedyś wręcz zapytał. Ponieważ znałem język niemiecki ze szkoły, odpowiedziałem, że nie jestem żołnierzem, a po prostu polskim harcerzem. To wyjaśnienie spowodowało, że na przełomie stycznia i lutego roku 1940 wyrzucono mnie z obozu jenieckiego i zesłano mnie na roboty przymusowe w okolice Królewiec – Tylża, Königsberg – Tilsit. Tam pracowałem na roli, u rolnika, który wziął mnie z Arbeitsamtu, z urzędu pracy jako pomocnika murarza. Tam pomagałem w budowie domu. Kiedy pod koniec 1940 roku zakończyła się budowa domu, rolnik Herzberg oddał mnie do urzędu pracy w mieście Labiau, Labiawa, dzisiaj okręg Królewiec. Tam przydzielono mi następnego pracodawcę, którym byłam starsza Niemka - wdowa, pani Blank zabierała mnie z urzędu pracy. Miałem nadzieję że z urzędu pracy trafie do Polski, że zostanę nareszcie zwolniony. W dalszym ciągu miałem na sobie mundurk licealisty, granatowy z amarantowymi wypustkami na rękawach i wzdłuż spodni. Niemka szukająca robotnika do pracy zwróciła uwagę na mój mundur. Przed nią Niemcom, odpowiadałem na pytanie kim jestem z zawodu, że jestem studentem, pokazując mój mundur licealisty. Mówili: „To jak student, to się do roboty nie nadaje.” Tymczasem Niemka odpowiedziała: „O, inteligentny to wszystko zrozumie.” W ten sposób znalazłem się na roli, gdzie przebywałem do Wielkiej Nocy roku 1941. Wtedy pierwszy raz próbowałem uciec do Generalnej Guberni, do części naszej ojczyzny wydzielonej przez Niemców po uprzednim podzieleniu przez okupantów na część zachodnią dla Niemiec i część wschodnią dla Sowietów.

„Postanowiłem wtedy z Labiau uciekać do Generalnej Guberni do Warszawy. Tutaj miałem punkty oporu i nadzieję, że trafię między swoich. Dodaję, że Warszawę znałem przelotnie jako zakupujący sprzęt sportowy dla mojej drużyny. Tyle znajomości miasta Warszawa. Ucieczka nie udała mi się z powodu mojej lekkomyślności. Jechałem pociągiem. W przedziale obok mnie siedziała po drugiej stronie przy oknie Niemka w wieku do trzydziestu lat, która mi się bacznie przyglądała. My Polacy mieliśmy na lewej piersi znaczek na żółtym tle fioletowa literka „P”, to oznaczało, że jesteśmy Polakami. Literki „P” naturalnie nie miałem, mając na uwadze, że uciekam. Ale w Labiau w mieście powiatowym w dzień pierwszy Wielkiej Nocy odbywało się nabożeństwo w katolickim kościele dla Polaków. Wtedy z pociągu zauważyłem znajomą dziewczynę, robotnicę pochodzącą z Łodzi. W czasie kiedy pociąg stał na dworcu wyskoczyłem, żeby się z nią pożegnać i to zwróciło uwagę Niemki, która ze mną siedziała. Przyszedł konduktor, sprawdzał bilety, bilet okazałem. Kiedy wychodził, to Niemka mówi do konduktora: „To jest Polak, który nie ma prawa jeździć pociągami.” Pomyślałem: „To znaczy, że baba mnie zakapowała i może być nieszczęście”. Szczęście, że konduktor był ludzki. Odpowiedział Niemce: „Moim obowiązkiem jest sprawdzać bilety kolejowe. Bilet człowiek posiada, jestem w porządku. Do widzenia.” Wyszedł. Jak on wyszedł, to ja z kolei wykorzystałem znajomość języka niemieckiego i troszeczkę bezczelnie, troszeczkę ze złością do Niemcy: „Jakim prawem pani mnie wyzywa od Polaków, jestem Holendrem. Skąd pani wie, że jestem Polakiem, dlaczego pani tak mówi?” „Bo pan rozmawiał z kobietą, która miała na piersiach literkę P.” „A to ona miała, a ja jestem Holendrem.” Wtedy Niemka trochę

przycichła do następnego zatrzymania się pociągu w Królewcu.”

Usiadłem przy oknie drzwi wychodzących na peron. Tu Niemka postanowiła działać dalej po swojej myśli. Stała przy oknie, otwierając je i patrzyła na peron. Szybko zorientowałem się, że szuka wroga dla mnie. Przeprosiłem ją, że to moje okno, że chciałbym też popatrzeć. W tym momencie przechodził niemiecki patrol żandarmów, ale ona tego nie zauważyła. Zauważyła natomiast, kiedy wracali, kiedy już pociąg ruszał. Dojechałem wtedy do Olsztyna, ówczesny Allenstein. W Olsztynie musiał się przesiąść w pociąg w kierunku Działdowa, mojej rodzinnej miejscowości i dalej do Warszawy. W Olsztynie musiałem przejść dworcowym tunelem, żeby zorientować się, jak znaleźć pociąg do Działdowa. Chociaż Działdowo już było włączone do Rzeszy Niemieckiej, postanowiłem odwiedzić rodziców, a zarazem pożegnać. Na moje nieszczęście w trakcie przemarszu tunelem w Olsztynie, zauważyli mnie strażnicy kolejowi Bahnschutz.

”Zatrzymali, zapytali o dokumenty, pokazałem papierek, zaświadczenie, zapytali dokąd jadę. „Jadę szukać pracy.” „Przecież ty z pociągu od Królewca idziesz, ty uciekasz.” Odpowiedziałem: „Byłem przy tym pociągu, bo chcę jechać do Królewca, tam podobno jest dobra praca, a przyjechałem ochotniczo pracować z dawnej Polski.” Strażnicy zostali przekonani, że rzeczywiście chcę pracować. Oddali mnie do dyspozycji żandarmerii niemieckiej na dworcu w Olsztynie. Tu powtarzałem to samo, że przyjechałem szukać pracy w Niemczech, że chciałbym koniecznie pracować. Żandarmi ocenili, że pracę mogę uzyskać również w Olsztynie. W ten sposób na Wielkanoc w roku 1941 trafiłem do Olsztyna, do miejskich zakładów komunikacyjnych, przy których istniała gazownia.”

Jako robotnik obsługiwałem piece generatorowe, wypalające węgiel na gaz. Pracowałem również pod piecami przy wypuszczaniu spalonego węgla, jak i na górze na piecach przy ładowaniu węgla do komór. Jakoś w połowie 1942 roku postanowiłem spróbować ponownie ucieczki. Przez radio uruchamiane przez Niemców w gazowni słyszałem, że wojna trwa, że Niemcy walczą w Anglii. Wcześniej wybuchła wojna w Związku Radzieckim, dużo Niemców zabrano z gazowni do armii w celu walk na wschodnim froncie. W skutek tego stałem się osobą dominującą w gazowni, jako człowiek mówiący po niemiecku, a jednocześnie po francusku. Obydwu języki poznałem w gimnazjum i liceum przed wojną. Głównymi pracownikami w gazowni byli jeńcy francuscy, z nimi rozmawiałem w ich ojczystym języku. Poznałem tam swojego przyjaciela, ogrodnika Jean'a, z którym miałem wspólny język. Jedynym Niemcem, który nad nimi panował, był dyrektor gazowni. Nie zapomnę że w czerwcu nasiliła się we mnie myśl o ucieczce, ucieczce do Warszawy. Utrudniona była ona o tyle, że nie mogłem zostać w domu, w obozie robotniczym w okolicach Olsztyna, skąd jeździłem do gazowni, dłużej niż jeden dzień. Zdarzyło się raz, że chorowałem trzy dni, dyrektor gazowni przyjechał sprawdzić, co się ze mną dzieje, bo nie było tłumacza i nie było pracownika w gazowni. Wpadłem wtedy na pomysł inscenizacji wypadku, który wykluczyłby mnie z pracy.

”Po podjechaniu wózka z wypalonym węglem pod prysznic wodny, po opuszczeniu na wózek jednego metra sześciennego wody, która ciekła z wózka na dół do koryta, ułożyłem się w korycie w brudnej wodzie, nogę wcisnąłem pod koło wózka i wrzeszczałem, że jestem

nieszczęśliwie poraniony. Wtedy przybiegli Francuzi, przyprowadzili dyrektora. Powiedzieli mi: „Stanisław jest poharatany. Przewieźli mnie na noszach do obozu w okolicy dzisiejszego klubu sportowego „Warmia” w Olsztynie. Tam mieliśmy obóz, baraki. Do baraku miał przyjechać za chwilę lekarz. Musiałem być gotowy na wizytę lekarza, musiałem być ranny, poturbowany wózkiem. Pamiętam, że wtedy w czasie dnia odpoczywało dwóch kolegów, którzy pracowali w nocy. Obaj pochodzili z Mławy jak dzisiaj pamiętam – Panfil i Studziński. Obaj spali. Kiedy Francuzi przynieśli mnie na noszach, współczuli, byli smutni. Francuzi wyszli, dyrektor wyszedł. Wtedy do chłopaków: „Chłopcy, musicie mi pomagać, szybko organizujcie atrament, potrzebuję koniecznie atramentu.” Wtedy pod lewą nogą w okolicach kostki porobiłem smużki atramentem. Atrament rozprowadziłem i doprowadziłem do wyglądu siniaków, osiniaczonej nogi. Leżałem jęczący na łóżku do przyjazdu lekarza.”

Przyjechał niemiecki lekarz. Starszy pan, młodych zabrali do wojska. Pan doktor zapytał jak do tego doszło, opowiedziałem. Założył mi opatrunki, które dopiero spowodowały ból. Noga została obandażowana od palców do kolana silnie, ciasno, plastrem, który ścisnął mi nogę, unieruchomił, ale jednocześnie każdy ruch nogą powodował rwanie owłosienia na nodze. Pamiętam że to faktycznie bolało. Wtedy udało mi się dostać wolne: „Dwa tygodnie nie pojedziesz do pracy. Zastanowimy się, czy nie założymy gipsu.” Przerwa była bardzo mi potrzebna do dalszej ucieczki. Już drugiego dnia wsiadłem do pociągu Olsztyn – Działdowo. Przyjechałem nocą, aby ludzie mnie nie widzieli, żeby sąsiedzi nie widzieli. Nie chciałem narażać rodziców. Przyszedłem do domu, mama się bardzo ucieszyła, ale jednocześnie myślała nad bezpiecznym zorganizowaniu ucieczki. Koleżanka z gimnazjum w Iławie Leoncia Szymczakówna była pracowniczką niemieckiej firmy budowlanej. Jestem jej wdzięczny bo to ona załatwiła mi zaświadczenie, że jestem robotnikiem budowlanym, że jadę do Nowego Dworu Mazowieckiego na budowę do pracy w firmie niemieckiej.

”To był papierek, który pozwolił mi przejść przez granicę, oczywiście ukrywając się, dotrzeć do Warszawy. Dojechałem tramwajem do hali towarowej przy ulicy Chłodnej. Tutaj sprzedałem marki i udałem się do mojego wujka, brata mojej mamy, na Grochów przy ulicy Zamienieckiej. Zostałem ciepło przyjęty przez wujka i ciocię. Tu rozpoczęło się moje konspiracyjne życie.”

Wujek poprosił mnie, żebym się nie chwalił, skąd jestem i udawałem niemowę. W lipcu, po niespełna miesiącu pobytu u niego, załatwił mi pracy w znajomej firmie, której właścicielem był Węgier: Wilmos Karton. Pracowałem przy naprawie automatów, pieców samoogrzewalnych. Tutaj zacząłem swoją współpracę z Szarymi Szeregami.

”Zamieszkałem na Starym Mieście przy ulicy Świętojańskiej pod numerem 9, gdzie w tym samym pokoju mieszkał ze mną inny młody człowiek. Dzisiaj wiem, tak samo ukrywający się jak ja, pochodzący z Torunia, używający tak samo jak ja wtedy fałszywego nazwiska, nazywał się Janek Myszkowski, a używał nazwiska Jan Bagiński. On już był członkiem Szarych Szeregów. Kiedyś wieczorem uczył się i z książki wypadła gazetka „Biuletyn Informacyjny”, lipiec roku 1942. Zauważyłem to, ale żeby właścicielka mieszkania nie wiedziała o gazetce, udawałem, że tego nie widzę. Odwróciłem się na łóżku na inny bok. Rano w kuchni w czasie mycia zapytałem Janka czy może mi pokazać gazetkę. „Jaką gazetkę?”

Konspiracja, nie chciał się ujawniać. Powiedział: „Nie mam żadnej gazetki.” Mówię: „Janek, czytałeś książkę, wieczorem na łóżku spadło ci na podłogę, pamiętasz, ja to widziałem.”

Janek zastanawiał się przez dłuższą chwilę, czy się ujawnić, czy pokazać gazetkę. Wreszcie zdecydował się, pokazał.

”Całą gazetkę przeczytałem w łazience. W ten sposób zrozumiałem, co dzieje się w polskim podziemiu, Polska walczy. Za trzy, cztery dni Janek zaproponował mi udział w zbiórce harcerskiej. Oczywiście! Przy czym nic nie mówię, że jestem harcerzem, że jestem Stanisław Sieradzki. Franciszek Brożek to było moje nazwisko, takie miałem dokumenty po polskim żołnierzu, który zmarł ranny w szpitalu we wrześniu 1939 roku.”

Bez namysłu wykorzystałem propozycję pójścia na zbiórkę harcerską. Moja pierwsza zbiórka w Szarych Szeregach był przy ulicy Żelaznej róg Srebrnej. Już na trzeciej zbiórce mój drużynowy „Wąsik”, Jurek Zakrzewski postanowił mnie przygotować do wybrania pseudonimu i zapytał, czy gotów jestem złożyć ślubowanie w Szarych Szeregach? Odpowiedź była prosta: „Jasne”.

”Pragnąłem być żołnierzem Polski Podziemnej. Wkrótce ślubowanie złożyłem. „Ślubuję na twoje ręce pełnić służbę w Szarych Szeregach do rozkazów organizacyjnych się stosować, tajemnic organizacyjnych dochować i nie cofnąć się przed ofiarą życia.”

Dagmara Kosińska, Kasia Najmrodzka